

Magda Małecka-Myślik

ANTONINA Z PIROGÓW BEŁDOWICZOWA

Nie znalazłam mojej Babczi. Zmarła pół roku przed moim urodzeniem. Ze zdjęć, które pozostały, spogląda na patrzących zawsze surowo i bacznie. Może dlatego, że nie miała łatwego życia...

Urodziła się w 1889 roku w Muszynie. W mieszczańskiej rodzinie bardzo wówczas biednego, galicyjskiego miasteczka. Jej Mama oprócz Antoniny wydała na świat jeszcze siedmioro innych dzieci. Nie było łatwo gospodarować na niewielkim kawałku nieurodzajnej ziemi. Ale szansą dla tej sporej gromadki niespodziewanie stała się budowa kolei. Mój Pradziadek zawiózł pewnego dnia wędliny robotnikom. Smakowały im tak bardzo, że zamówiono następną partię, apóźniej jeszcze i jeszcze następne. W ciągu niedługiego czasu Pradziadek stał się człowiekiem majątnym. Miał nie tylko dom, ale także dużo ziemi, w gospodarstwie parobka, i dziewczynę do pomocy w domu. Duży, rodzinny dom stał w Rynku.

Z nazwiskiem Pirogów, Pierogów i Pirogowiczów do niedawna był w całej Muszynie i okolicy nie lada kłopot. Różnice w pisowni wzięły się bowiem z niedokładności ksiąg parafialnych. Stąd na przykład moi krewni w Andrzejówce nazywają się Pirogowie, natomiast kuzyn Mamy, broniąc pracy dyplomowej na wydziale leśnictwa, wrócił do oryginalnego, dawnego nazwiska: Pirogowicz.- Wersję tę za nim przyjęła większość rodziny.

Ciekawy był sposób, w jaki przyjmowano do pracy u moich antenatów. Otóż dawano młodemu człowiekowi obiad. Jeżeli zjadł go szybko — wróżył szybkiego w pracy robotnika. Takiego, który jadł powoli, pradziadek nie przyjmował.

Babcia była krawcową. Ale nie taką zwykłą, wiejską krawcową. Jej klientela to były żony ówczesnej elity miasteczka, pani doktorowa, pani rejentowa, nauczycielki. Bardzo często szyły sobie w Rynku sukienki coraz liczniej odwiedzające nasze miasteczko zamożne kuracjuszeki. O zręczności Babczi świadczy z pewnością fakt, że do swojej pracowni chciał ją sprowadzić duży dom mody w Warszawie (nie jestem pewna, ale to chyba był Herse).

Za mąż wyszła Babcia mając 21 lat. W roku 1910. Do dziś w naszym domu chodzi punktualnie stareńki zegar, a na ścianie wisi reprodukcja „Hołdu Pruskiego”. To prezenty ślubne pamiętające ów uroczysty dzień. Szczęśliwym Panem Młodym był Jan — nauczyciel. Pierwszą posadę otrzymał w miejscowości Przywóz w Czechach, bo przecież były to czasy, gdy monarchia austriacka rozciągała się od Adriatyku po Kraków.

W roku 1914, po mobilizacji, Dziadek wyjechał na front. Życie ocalałmu malowany na kawałku blaszki wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, który kochająca żona włożyła mu w lewą kieszeń munduru.

Gdy wrócił do domu z włoskiego frontu, syn — Zbigniew — miał już 4 lata. Nie znał ojca wcale. Ale po pewnym czasie pokochał tego niewielkiego wzrostem, bardzo wesołego i otwartego, wiecznie rozśpiewanego człowieka. To Dziadek organizował przedstawienia w mieście, reżyserował jasełka, w których główne role grali między

innymi: pan leśniczy i pani rejentowa. Mojej biednej mamie przypadła tylko rola aniołka.

Wśród rodzinnych, skąpych przekazów — żył zaledwie 41 lat — jest także opowiadanie o tym, jak to kiedyś Dziadek założył się, że wypije antałek piwa. Wypił i wygrał ... następny antałek!

Codziennie życie w zniszczonej wojną wolnej Polsce łatwe nie było. Cały zgromadzony przed wojną majątek przepadł. Dziadkowie mieszkali kątem w wynajętych mieszkaniach. Mama urodziła się w domu, który do dziś stoi obok stacji kolejowej przy ulicy (znów) Piłsudskiego, i który ma datę 1910 wyciętą piłą na froncie ganku. Później przeprowadzili się na Kościelną. Babcia szyła, dziadek uczył, udzielał skąpo opłacanych dodatkowych lekcji skrzypiec.

Moja Mama знаła swojego ojca zaledwie 8 lat. Po jego śmierci cały ciężar budowy domu i kształcenia syna spoczął na Babci. Wuj uczył się w starszadeckim Gimnazjum, a później w Seminarium Nauczycielskim. Nieco lżej było Babci, gdy Wujek poszedł do pracy, ale i tak ostatnie długie wiele lat kładły się cieniem na gospodarce naszej rodziny. Nawet po wojnie. Mama twierdziła, że nasz dom jest nie tyle wybudowany, co uszyty pracowitymi rękami Babci.



Antonina z Pirogów Beldowiczowa
(fot. z albumu Magdy Maleckiej-Myślik).

Pomimo tego, że była piękna, wesoła i gospodarna jak mało kto, nigdy za męża powtórnie nie wyszła. A pomiędzy wieloma, którzy o jej rękę prosili, był ponoć i taki, kórego majątek w dobrej polskiej ówczesnej walucie szacowano na 2 miliony złotych (nie doinformowanym podaję, że dolar wtedy kosztował około 5 złotych). Troskliwie pielegnowała moją chorą Mamę, domowym ciastem przyjmowała przychodzące w gości do Prababci znajome, miała czas i pieniądze dla biednych, czas na spacery oraz ploteczki z przyjaciółkami. A te dobiebrała bardzo starannie, zawsze był to ktoś z odpowiedniej „sfery”.

Przyjaźniła się serdecznie z uczącą na Złockiem panią Antoniną Kramkowską — w niedzielę pijały po kieliszku domowej nalewki, na którą Babcia, nie bacząc na małomiasteczkowe konwenanse, serdecznie zapraszała stojąc na balkonie! Pięknie się zawsze ubierała. Kochała buty — trudno mi w to uwierzyć, ale Prababcia ponoć naliczyła ich kiedyś 60 par! A moja najelegantsza dziś kreacja to właśnie babcina sukienka, oczywiście czarna.

Ale czas próby na tę dzielną Kobietę miał dopiero nadejść. Wujek, jako

absolwent Baonu Podchorążych w Zambrowie, został na wojnę 1939 roku zmobilizowany. Gdy wrócił, uciekłszy z transportu jeńców, pracy dla niego w szkole już nie było. W tartaku, gdzie zawsze potrzebowano rąk do pracy, bardzo szybko wstąpił do organizującego się na naszym terenie ruchu oporu. Najprawdopodobniej był kurierem. Niestety — zabrany przez gestapo dosłownie z rąk Babci — nigdy już do domu nie wrócił. Bestialsko „przesłuchiwany” w muszyńskiej placówce, która mieściła się w Helinie, przewieziony następnie do tarnowskiego więzienia, zmarł w Oświęcimiu w maju 1942 roku. Babcia z nastoletnią wówczas Mamą zostały same.

Trudno nam dziś sobie wyobrazić biedę tamtych lat. Częstokroć jedynym źródłem utrzymania były robione dla mieszkańców pobliskich wsi skarpety czy swetry. Małeńki kawałek ogrodu nie dawał możliwości przeżycia nawet tym dwóm kobietom. Dlatego zawsze z wielką wdzięcznością wyrażała się Mama o zamieszkujących wszystkie okoliczne wsie Rusinach (tak w domu zwykle nazywano Łemków). To oni często dzielili się swoimi ubogimi plonami, pamiętając o Babci i Mamie w tych strasznych, ciężkich latach.

Dzień nadejścia wojsk radzieckich był dla naszego domu niezwykle — zakwaterowano tu sztab. Później rozpoczęła się niełatwa wolność. Mama poszła do szkoły (wojna zastała ją jako 16 -letnią dziewczynę), później wyjechała, wzorem wielu ówczesnych młodych, na studia do Wrocławia. Nie było już Babci stać na opłacenie wymarzonej medycyny — pracując przedpołudniami Mama uczęszczała do Wyższej Szkoły Handlowej. Tam poznała Tatę, oficera ostatniej przedwojennej promocji, który — po powrocie z Anglii, gdzie trafił po wojnie spędzonej w oflagach — szukał także dla siebie miejsca w nowej rzeczywistości. Choroba Mamy przerwała ich naukę. Wrócili do domu, wzięli ślub, a w kilka lat później ja przyszedłam na świat.

Dziś w naszym Domu biegają moje, a podczas wakacji także mojej siostry, dzieci. Chwalimy wtedy solidność i przezorność Babci. Czasem też zastanawiam się, stojąc nad jej grobem, w najstarszej części muszyńskiego cmentarza, przy końcu alejki po lewej stronie, co powiedziałyby dziś, gdyby niespodziewanie do nas przyszła. Czy byłaby zadowolona z naszych poczynań? Bo Dziadek, którego portret wisi nad naszym pianinem, a na którego skrzypcach grać będzie mój synek, chyba jest z nas zadowolony...